

Sztukowanie brakujących puzzli, czyli jak badać wojnę

Andrzej Wilk

Pierwszą ofiarą wojny jest prawda.

Gubernator Kalifornii Hiram Johnson w trakcie dyskusji w Senacie USA o wydatkach na wojnę i stratach ponoszonych przez walczącą we Francji armię amerykańską, 1918

Rosja ma tylko dwóch sojuszników – armię i flotę.

Car Aleksander III

Na pierwszy rzut oka sprawa wydaje się prosta: wystarczy policzyć żołnierzy, czołgi i rakiety plus resztę żelastwa w obu potencjalnie wrogich lub walczących ze sobą armiach i można stwierdzić, że armia A jest słabsza od B lub armia C niechybnie pokona D. Takie podejście pomija jednak szereg kluczowych czynników: wyszkolenie, motywację, morale, dowodzenie i sztukę wojenną, organizację i zgranie pododdziałów, innowacyjność, zaawansowanie technologiczne i kulturę techniczną, transport i łączność, zapasy amunicji, materiałów pędnych i smarów itd. A jeśli na dodatek licząc żołnierzy i ich wyposażenie, będziemy mieli do wyboru całą gamę niekoniecznie zbieżnych ze sobą liczb z różnych zakątków „galaktyki” informacyjnej?

Gdyby zaś wojna trwała dłużej – jak ma to miejsce w przypadku trwającej agresji Rosji na Ukrainę – to co ze zdolnościami państwa do jej prowadzenia? Jak wyglądają jego możliwości gospodarcze i finansowe, nastawienie ludności i potencjał mobilizacyjny? Jakim przemysłem zbrojeniowym dysponuje? Co może otrzymać od sojuszników? – o ile odpowiedni przemysł i sojuszników w ogóle posiada. Co w przypadku, gdy badana armia stanowi zbrojne przedłużenie polityki kraju różniącego się od nas cywilizacyjnie? A co jeśli na dodatek spora część naszego społeczeństwa uważałaby, że doskonale zna się na tej armii, z uporem godnym lepszej sprawy prezentując o niej sprzeczne ze sobą opinie?

Siły Zbrojne Federacji Rosyjskiej (FR) – bo głównie o nich będzie mowa w tym tekście – tkwiąc w rozdarciu pomiędzy byciem drugą najsilniejszą armią świata a kolosem na glinianych nogach, zadania ekspertowi nie ułatwiają.

Sprawa przestaje być prosta i aby przeprowadzić szczegółową analizę, potrzeba sztabu – dosłownie i w przenośni. Ale nawet on nie zawsze uchroni się od błędów w ocenach. Zajmowanie się wojskowością i wojnami na obszarze posowieckim przypomina bowiem spacer po polu minowym.

Granica cywilizacyjna i co z niej wynika

Przystępując do badania owego obszaru z perspektywy polskiej czy – szerzej – zachodniej, stosunkowo szybko zauważymy różnice w postrzeganiu i rozumieniu rzeczywistości pomiędzy nami a społeczeństwami tam mieszkającymi. Dotyczy to nie tylko sfery wojskowej, lecz także całokształtu zdarzeń zachodzących w szeroko pojętym „rosyjskim świecie” (*russkim mirze*). Koncepcja ta kojarzy się najczęściej z doktryną państwa rządzonego przez Władimira Putina, budowanego w oparciu o specyficznie rozumianą ideę Rosji. Rozpatrywana jest ona w kontekstach kulturowo-cywilizacyjnym, rywalizacji międzynarodowej i religijnym, przy czym każdy z nich przynosi swoiste zawężenie tematu, więc najlepsze rozwiązanie to przyjęcie możliwie całościowego podejścia. W „ruskim świecie” da się pomieścić dosłownie wszystko, co wiąże się ze znaną nam Rosją i rosyjskością. W istocie trudno nie odnieść wrażenia, że to odrębna cywilizacja – co zresztą znajduje potwierdzenie w coraz częściej powtarzanych tam słowach o „cywilizacji rosyjskiej”.

W porządku omawianego państwa cała aktywność polityczna ma de facto charakter wojskowy czy też – patrząc z szerszej perspektywy – organizowana jest przez konflikt (z wrogami wewnętrznymi i/lub zewnętrznymi, zależnie od potrzeby). Wojsko to najwyższy stopień zorganizowania społeczeństwa, a wojna – najważniejszy przejaw jego aktywności. Współczesna Rosja stanowi kontynuację Wielkiego Księstwa Moskiewskiego w jego postaci ukształtowanej po podboju mongolskim i wchłonięciu przez nie ziem i ludów Wielkiego Stepu. Istnieje jednak coś, co mimo tego dziedzictwa odróżnia jej mieszkańców od Azjatów: Imperium Rosyjskie budowały po części elity europejskie, głównie niemieckie, które szybko upajały się naturą i zakresem władzy, jaką oferowała im absolutystyczna Rosja. Dzięki nim państwo rządzone z Petersburga uzyskało formę, która zewnętrznie przypominała europejską, ale pozostało azjatyckie w treści. Trudno czasem nie mieć wrażenia, że Rosja to mongolska horda z pruskim szlifem.

Tę odmienność oddaje wspomnienie z Sewastopola z 9 maja 2010 r. Jak zgodnie stwierdzają rozmówcy, rocznica Dnia Zwycięstwa to największe święto w tym położonym na ukraińskim Krymie mieście sławy rosyjskiego oręża. Ale dla obserwatora z Polski słowo „defilada” przestaje być najwłaściwszym określeniem głównego oficjalnego wydarzenia tego dnia. Owszem, pododdziały

reprezentujące różne formacje i jednostki rosyjskiej Floty Czarnomorskiej kroczą dziarsko, a za nimi lud Sewastopola idzie niemal jak w procesji. Szczególnie wzruszają starsze panie z ikonami Stalina (z aureolą, a jakże), przy których już niemal nie dziwią obrazy świeżo wyniesionego na ołtarze Kościoła prawosławnego admirała Fiodora Uszakowa. Ów obserwator z Polski myśli: „Bożego Ciała nie mają, trzeba je czymś zastąpić”. Gdzieś w tym radosnym, mniej lub bardziej zdyscyplinowanym przemarszu ruskiego miru niewielka delegacja państwa-gospodarza – pododdział ukraińskiej 36 Brygady Piechoty Morskiej. Wprawne oko wyłapie.

Specjalnie na defiladę przyjechała grupa młodych ludzi z (także ukraińskiego) Doniecka – górniczy. Świątują od rana, a im bardziej świętują, tym bardziej są z „ich” rosyjskiej floty dumni. Krążownik rakietowy „Moskwa” – zatopiony 12 lat później przez Ukraińców – wzbudza nie mniejszy entuzjazm niż bramka decydująca o zwycięstwie Szachtara. A młodzi ludzie? Cóż, w 2014 r. ogromna większość z nich nie stanęła w obronie ukraińskiego Donbasu. Po defiladzie – czy procesji – świętuje całe miasto. Rodzinne i koleżeńskie pikniki organizowane są w plenerze. Ogólna radość trwa do wieczora. O zmierzchu z utrzymaniem pionu najlepiej radzą sobie dzieci, które wcześniej nie usnęły ze zmęczenia.

Mieszkańcy Sewastopola i górniczy z Doniecka są otwarci i serdeczni do momentu, gdy gość z Polski pozostaje w poetyce doskonale pamiętanego jeszcze wówczas na obszarze posowieckim serialu *Cztery pancerni i pies*. Kiedy zaś próbuje poruszać jakieś trudne tematy – z historii Rosji i ZSRR oraz wzajemnych relacji z Polską i, szerzej, Zachodem – to mu się bardziej lub mniej dyskretnie i grzecznie sugeruje, by tego nie robił. Trudne tematy nie istnieją, a jeśli były czy są, to nie ma sensu ich rozpamiętywać. „Komu to służy? Tylko naszym wspólnym wrogom!”. Pozostaje być zachwyconym krążownikiem rakietowym „Moskwa”. No, może jeszcze okrętem podwodnym „Ałrosa”, zwłaszcza w zestawieniu z tym złodem „Zaporoże”, co to go Ukraińcy trzymają w „rosyjskim” doku i naprawić nie potrafią.

Były i są na terenach ruskiego miru jednostki, z którymi człowiekowi z Zachodu rozmawia się dobrze i swobodnie, o czym kilka słów dalej. Problemu nie generuje to, że mają inne poglądy i uważają je za jedynie słuszne, lecz ich powiązanie ze specyficznym systemem wartości. Przeciężni Rosjanie najczęściej godzą się z rolą przedmiotów polityki państwa, swoistych trybików w militarystyczno-mocarstwowej machinie, w której życie współobywateli (ale już niekoniecznie ich własne) ma znaczenie mniejsze niż inne narzędzia znajdujące się w dyspozycji imperium.

Najlepiej opisać to za pomocą kolejnego wspomnienia. Sierpień 2000 r., po katastrofie atomowego okrętu podwodnego „Kursk”. Górnik (znów górnik, ale podejście jest typowe nie tylko dla tego zawodu) z Workuty: „No tak, ponad

setka chłopaków zginęła [to przykre – AW], ale TAKI OKRĘT żeśmy stracili! [to prawdziwa tragedia – AW]”. „Cywilizacja rosyjska” czy – jak kto woli – ruski mir myśli inaczej, a przez to często podejmuje działania co najmniej trudne do zrozumienia z naszej perspektywy.

W bagnie źródeł

Komentarz górnika o katastrofie „Kurska” potwierdza rangę, jaką zwłaszcza w Rosji cieszą się wiadomości dotyczące sfery militarnej. Ich ilość na niemal całym obszarze posowieckim jest ogromna. Likwidacja ZSRR i ogłoszona przez jego ostatniego przywódcę Michaiła Gorbaczowa głośność (ros. *гласность* – jawność, otwartość) skutkowały m.in. lawiną ukazujących się publicznie materiałów o byłej armii sowieckiej – wcześniej objętych ściśle strzeżoną tajemnicą – a następnie o formacjach militarnych powstałych na jej gruzach. Wraz z krzepnięciem putinowskiej Rosji ich charakter ulegał stopniowej zmianie, a informacja w coraz większym stopniu stawała się dezinformacją.

Drogą tą podążyła również Łukaszenkowska Białoruś. Do lutego 2022 r. swoista głośność w kwestiach związanych z wojskowością utrzymywała się natomiast na Ukrainie, a i pełnoskalowa wojna nie zdołała jej w pełni zlikwidować. Postęp dezinformacji nie ograniczył jednak ilości słowa drukowanego i materiałów audiowizualnych, przez które trzeba przebrnąć, badając militarne aspekty funkcjonowania byłych republik sowieckich. Systematycznie poszerza ona zaś swoją przestrzeń życiową w internecie, jednak nie zawsze kosztem tradycyjnych nośników. Jeden człowiek nie da rady wszystkiego obejrzieć, przeczytać i wysłuchać. Przed badaczem trudna sztuka wyboru.

Jak zatem ma się sprawa z rosyjskimi źródłami wiedzy mogącej posłużyć do analizowania sektora wojskowego? Czy wszystko, co się w nich pojawia, to nieprawda? Odpowiedź na drugie pytanie jest przecząca. Co więcej, w warstwie stricte informacyjnej Rosjanie prawie zawsze opierają się na faktach. Dezinformują natomiast poprzez odpowiednio dobrane interpretacje i przyjętą narrację. Jeśli w tamtejszych źródłach pojawiają się wieści o wynaturzeniach w jednostce wojskowej numer taki i taki, ewentualnie o wykrwawieniu się batalionu w walkach o stację honorowego krwiodawstwa w „Krwiopijsku”, to najprawdopodobniej takie sytuacje miały miejsce i prędzej lub później się potwierdzą. Zarazem jeśli w tamtejszych źródłach pojawiają się wieści o pomyślnym zakończeniu prób z nową raketą balistyczną i skierowaniu jej do produkcji, ewentualnie o zajęciu kolejnej wsi w Donbasie, najprawdopodobniej takie sytuacje także miały miejsce i prędzej lub później się potwierdzą. Ogólnie rzecz biorąc, warto być cierpliwym. Natomiast budowany na podstawie takowych (najczęściej kilku pokrewnych) informacji całościowy obraz Sił Zbrojnych FR czy jakiegokolwiek

wojny z ich udziałem, co wciąż serwują nam Rosjanie, a od 2022 r. także – prze-
ważnie ku pokrzepieniu serc – Ukraińcy, będzie fałszywy.

Jeśli mamy się posługiwać pojęciami z zakresu sztuki wojennej, to na
poziomie taktycznym, najniższym, dotyczącym szczegółów, a nie całościowej
oceny jakiejś sytuacji, Rosjanie zwykle nie kłamią. Trzeba jednak pamiętać,
że ta „prawdomówność” odnosi się wyłącznie do zdarzeń, szczególnie takich,
które trudno ukryć lub – zwykle – nie ma potrzeby tego robić. Nie obejmuje ona
natomiast sfery deklaracji i opinii, w tamtejszym przekazie z reguły wymie-
szonej z faktami. Sztandarowy przykład to określanie nowo wprowadzanych
do służby typów uzbrojenia mianem „niemający odpowiedników w świecie”
(ros. *не имеющих аналогов в мире*). Wbrew zdaniu niektórych zachodnich
analityków zwrot ten nie odnosi się do danych taktyczno-technicznych (które
z reguły pozostają niejawne), ale stanowi formę promocji skierowaną na ogół
do własnego społeczeństwa.

Deinformacja pojawia się na szczeblu operacyjnym – gdzie z odpowiednio
dobranych prawdziwych wydarzeń tworzy się fałszywy obraz całości – a do-
minuje na poziomie strategicznym (najwyższym, z innej perspektywy można
o nim rzec – politycznym), na którym FR stara się wmówić światu, że jest ofiarą
agresji Ukrainy i/lub Zachodu. Na tym ostatnim istnieje jeden wyjątek, w któ-
rym rosyjski przekaz zgadza się z rzeczywistością: jeśli Moskwa konsekwentnie
powtarza, że coś niesie żywotne zagrożenie dla jej specyficznie rozumianego
interesu narodowego, i wręcz wprost grozi interwencją zbrojną, to w sprzyja-
jących jej okolicznościach się na to zdecyduje. Rozumowanie to dotyczy jednak
tylko potencjalnego konfliktu konwencjonalnego, czym innym zaś jest w jej
retoryce straszak atomowy. Kreml zdaje się mieć świadomość, że użycie broni
jądrowej to ostateczność, a w wojnie nuklearnej – przynajmniej na obecnym
poziomie rozwoju technologicznego – nie będzie zwycięzców. Zdaje się także
przekonany, że analogicznie rozumują pozostałe mocarstwa atomowe. Dzięki
temu może mniej lub bardziej oficjalnie straszyć tych, którzy jej nie mają, lecz
na straszaniu poprzestaje. Owszem, trudno wykluczyć użycie przez Rosję broni
jądrowej, gdyby wrogie armie maszerowały na jej stolicę. Jeszcze trudniej jed-
nak wyobrazić sobie sytuację, w której to nie ona jest agresorem. Warto o tym
pamiętać w kontekście oceny potencjalnych przyszłych działań militarnych FR.

Skoro Rosjanie na poziomie taktycznym zasadniczo posługują się fakta-
mi, to w czym problem? Otóż w tym, że nigdy nie przedstawiają ich w sposób
kompleksowy – w opisie wydarzeń zawsze pomijają istotne elementy. Czytając
wywiad z dowódcą brygady zmechanizowanej z Centralnego Okręgu Wojsko-
wego, poza standardową, „ogólnowojskową” laurką dla jednostki poznamy
otczestwo (imię ojca) jej szefa, ale często zabraknie informacji o miejscu jej
dyslokacji – o numerze, strukturze i liczebności nie wspominając. Nie poznamy

liczby dostarczonych czołgów lub samolotów (inna sprawa z okrętami – pod czujnym okiem satelitów trudno je ukryć), a przede wszystkim nie dowiemy się nic o problemach. Co więcej, wszystkie dane zostaną potraktowane niezwykle wybiórczo. Przeczytamy wywiad z przykładowym dowódcą z Jurgi, a kilkunastu jego odpowiedników nigdy nie poznamy, chyba że któryś malowniczo polegnie i zostanie pogrzeb z honorami. Doniesienia o przekazanym uzbrojeniu pojawiają się tylko wtedy, gdy dostawy będą zbyt duże, by je ukryć lub – odwrotnie – gdy Moskwa uzna za stosowne je nagłośnić. Dodatkowo wyłowienie ziarenka przydatnej wiedzy wymaga czasami przebrnięcia przez wiele akapitów lub nawet stron tekstowego bagna.

Z przeciwnej strony rosyjskiej infosfery – tej uchodzącej za mniej lub bardziej niezależną od Kremla – funkcjonują źródła prezentujące sprawy niekorzystne dla armii i floty bądź wręcz je dyskredytujące. Tu również nie znajdziemy kompletu informacji. Często owe źródła są jak odbicie oficjalnego przekazu w krzywym zwierciadle, przy czym zbędna zawartość – wspomniane tekstowe bagno – dominuje w prawie każdym zakątku przestrzeni informacyjnej FR. Bywa jednak, że publikowane treści – nadzwyczaj klarowne – mają charakter swoistego wentylu bezpieczeństwa, zwłaszcza gdy dotyczą zagadnień rozgrywających się na styku przeciętnego Rosjanina i maszyny wojskowej państwa (vide m.in. zbierający dane o poległych w wojnie na Ukrainie portal Mediazona).

Przeciętny obywatel FR nie czytuje natomiast gazet pokroju „Kommiersanta” czy „The Moscow Times”, skąd o bolączkach krajowej wojskowości dowiaduje się przedstawiciel tamtejszych elit i – nierzadko – zachodni analityk. Podobnie jak poprzednie kategorie źródeł prasa ta też podchodzi do tematu wybiórczo. Jeśli zaś pojawiają – czy raczej pojawiały – się w niej materiały kompleksowe, jak wydawane przez „Kommiersant” raporty *Cała armia rosyjska*, to zawierały one sporą dawkę dezinformacji. Było to wszak informacyjne wejście z poziomu taktycznego na operacyjny.

Opisując całokształt swojej wojskowości czy odnosząc się do sytuacji ekstraszybowych (roboczo zaliczmy do nich wojnę), Rosjanie tworzą wiele interpretacji i alternatywnych wersji rzeczywistości (naprawdę trudno wymyślić coś ponadto). Manipulując realiami, popełniają jednak błędy, dzięki którym także da się pozyskać ciekawe, a niekiedy decydujące dla odtworzenia przebiegu wydarzeń fakty.

Wróćmy do katastrofy „Kurska” z sierpnia 2000 r. Niedzielne wieczorne wydanie głównego programu informacyjnego na Pierwom Kanale – najważniejszej stacji telewizyjnej w kraju. Prezenter podaje, że norwescy nurkowie zeszli do wraku i w rufowej służbie odnaleźli zwięglone zwłoki marynarzy (przypomnijmy: Rosjanie podobno nie byli w stanie tam zejść, czym tłumaczyli brak akcji ratunkowej). Traf chciał, że w rzeczywistości pogoda pokrzyżowała pierwotne plany

ekipy i trafiła ona na okręt dopiero w poniedziałek – tylko nikt nie powiadomił o tym telewizji, która miała już gotowy materiał. Baczni obserwatorzy uzyskali dzięki temu potwierdzenie, że wbrew przekazowi Moskwy Rosjanie znaleźli się we wraku wcześniej, ale nie w celu ratowania załogi. Układankę uzupełniły lokalne media z Dagestanu, wystawiając nekrologi specjalistom z tamtejszych zakładów, którzy na pokładzie „Kurska” nadzorowali niefortunny test nowej raketotorpedy. Prawdziwa wersja wydarzeń wprawdzie znalazła się wśród kilkunastu innych lansowanych tuż po katastrofie przez rosyjskie media, ale była na tyle prozaiczna, że początkowo mało kto się nią zainteresował.

Czy zbierając wszystkie te rozrzucone po różnych mediach odpryski wiedzy, uda się złożyć całościowy obraz Sił Zbrojnych FR (o ich aktywności nawet nie wspominając)? W dużej mierze tak, lecz pod warunkiem że badacz ma czas i determinację, by sięgnąć dwie lub trzy dekady wstecz. W okresie względnej otwartości mediów w latach 90. XX wieku w Rosji pojawiły się bowiem liczne materiały, które wciąż – mimo upływu lat – mogą służyć jako swego rodzaju szkielet, do którego daje się dopasować nawet najnowsze strzępy danych. Istotną rolę odgrywają tu dokumenty wymiany informacji w ramach traktatu o konwencjonalnych siłach zbrojnych w Europie (CFE), wydane chałupniczo w niewielkim nakładzie i oczywiście na przekór przyjętym przez Kreml zobowiązaniom – dziś białe kruki.

W badaniu rosyjskiej wojskowości nadal znajduje zastosowanie „zabytkowa” obecnie metoda zbierania informacji, czyli kontakt ze słowem drukowanym. W papierowych wydaniach gazet i periodyków poruszających problematykę militarną często można wyczytać więcej niż w wersjach elektronicznych. Chodzi o drobiazgi, acz z perspektywy analityka stanowiące ważne puzzle – jak doniesienia w „kronice towarzyskiej” miesięcznika „Morskoj sbornik” wskazujące na sformowanie z marynarzy Floty Bałtyckiej na potrzeby agresji na Ukrainę 9 Pułku Zmechanizowanego. Wydania papierowe, mimo wojny wciąż przez OSW prenumerowane i docierające do Polski okrężnymi drogami, mają też inną przewagę nad internetowymi – ich zawartość nie ulega zmianie, co w wędrówce labiryntem rosyjskiej dezinformacji odgrywa rolę niebagatelną. Zapoczątkowana aneksją Krymu inwazja nie tylko ostatecznie przechyliła szalę na korzyść sieci, lecz także wysunęła na plan pierwszy wieści pojawiające się w serwisach społecznościowych. Przewodzi im Telegram – wytwór rosyjski, ale z powodzeniem wykorzystywany w działaniach informacyjnych przez obie strony konfliktu, ze strukturami Sił Zbrojnych Ukrainy włącznie. Konsekwencją upowszechnienia elektronicznych źródeł informacji, a zwłaszcza dominacji przekazu telegramowo-iksego (dawniej twitterowego), jest niestety nadprodukcja doniesień niemających pokrycia w rzeczywistości (należy podkreślić, że za ich puszczeniem w obieg nie zawsze stoi czyjaś zła wola), co w ogromnej

większości wyjaśnia się po kilku, najdalej kilkudziesięciu godzinach. Jeśli tylko sytuacja na to pozwala, warto być cierpliwym.

Czy w obliczu problemów z ogromem ukazujących się w Rosji doniesień wiedzy o rosyjskiej wojskowości nie warto poszukać gdzieś indziej? Wszak przy okazji konfliktu zbrojnego na Ukrainie sążniste raporty na temat potencjału militarnego FR wydają Amerykanie, Brytyjczycy, Francuzi, o Ukraińcach nie wspominając. Jeśli chcemy badać, a nie wpisywać się w powszechną w przekazie medialnym narrację, w warunkach wojennych ściśle podporządkowaną bieżącej polityce Kijowa i jego partnerów, odpowiedź jest przecząca. Ukraina i państwa NATO, w tym Polska, dysponują źródłami wywiadowczymi, lecz informacji faktycznie z nich pochodzących nie ujawniają. Ukraiński wywiad zdaje się z tego schematu wyłamywać, ale musimy pamiętać, że prowadzenie wojny informacyjnej należy do jego głównych zadań. W tym przypadku trzeba stawiać podobne pytania jak w odniesieniu do źródeł rosyjskich, bo wojna całkiem profesjonalnie dezinformować nauczyła również obrońców. Trafiające do publicznego obiegu wieści o wojskowości agresora – i korzystne, i niekorzystne – prawie zawsze pochodzą z Rosji. I wszyscy z nich korzystają, z Ukraińcami włącznie. Pozyskane w trakcie własnych badań dane dobrze przy tym skonfrontować z pracą innych, gdyż zawsze można przeoczyć coś istotnego.

Warto rozmawiać, nie licząc na wiele

Specyficzną składową aktywności eksperta od wojskowości są bezpośrednie kontakty z zajmującymi się zagadnieniami z tego zakresu przedstawicielami obszaru zainteresowania, innymi słowy – osobowymi źródłami informacji. Podobnie jak w lotnictwie wojskowym najłatwiej identyfikować ich w systemie swój-obcy. Z dużą dozą prawdopodobieństwa wolno przyjąć, że swój – przykładowo Gruzin lub Ukrainiec – uczciwie podzieli się posiadanym zasobem wiadomości, zaś jeśli wyprowadzi analityka znad Wisły na manowce, to zwykle skutek nie złej woli, lecz ograniczeń narzuconych przez sytuację, braku orientacji zderzonego z potrzebą zademonstrowania, że wie się więcej od przybysza z dalekiej Europy etc. Kontaktujący się z Polakami ukraiński żołnierz najczęściej nie będzie opowiadał o niepowodzeniach (choć o deficytach w wyposażeniu już tak) oraz skupi się na własnym odcinku odpowiedzialności (frontu) jako jedynym mu znanym.

Budując na podstawie takich przekazów pełny obraz rzeczywistości, należy pamiętać, że to tylko jeden z jego komponentów. Na innym odcinku frontu i w innej jednostce sytuacja potrafi bowiem wyglądać zupełnie inaczej, a każdy z ukraińskich żołnierzy opowie swoją bieżącą, lokalną prawdę. Z Rosjanami nie będzie tak prosto – tym bardziej że badacza wojskowego z Polski z założenia

traktują oni jak szpiega, co piszącemu te słowa od 2011 r. uniemożliwia swobodne podróże do i po FR.

Wspomnienie z Moskwy – grudzień 2001 r. Jak przystało na kraj armią i flotą stojący, ekspertów militarnych zatrzesienie. Chętni do rozmowy, otwarci, elokwentni, uśmiechnięci, można by rzec – europejscy. W przyjemnej formie rozprawiają na tematy poruszane przez prasę uchodzącą za niezależną od linii Kremla (*vide* przykładowo „Nowaja gazeta”) czy portale internetowe. Czasem zaserwują wiedzę „tajemną” – wrzucą szczegół z „Tiechniki i woorużenija” albo innego fachowego periodyku z resortowymi włączniami. W końcu kto o zdrowych zmysłach czyta w Polsce wydawnictwa Ministerstwa Obrony FR? W tym zatrzesieniu trafia się człowiek, który jeszcze na etapie kontaktów pomiędzy Moskwą a Warszawą bardzo się cieszy na spotkanie, ale gdy w końcu ma się ono odbyć, kluczy: przez trzy dni zmienia daty i miejsca rozmowy. Kiedy wreszcie do niej dochodzi, nie odzywa się za dużo. Mówi natomiast o rzeczach trudnych do znalezienia w mediach, a i przekaz ma inny niż jego błyskotliwi koledzy. Można odnieść wrażenie, że się boi. Po kilku miesiącach przekazane przez niego informacje zaczynają się potwierdzać. Przypadek, który więcej się nie powtórzy.

Elita moskiewskich ekspertów od wojskowości opowiadała zaś o tym, o czym jej zdaniem gość – nie tylko znad Wisły – chciałby usłyszeć. Do sierpnia 2008 r. powtarzała, że rosyjska armia jest w stanie katastrofalnym. Kolokwialnie mówiąc, ludzie ci wieszali psy na sztabie generalnym, ministrze obrony, a nawet prezydencie. Swobodnie wyjeżdżali na Zachód, gdzie wszystko powtarzali po raz kolejny, wracali do siebie i znów wyjeżdżali. Coś tu nie pasuje – akurat w tak newralgicznej dziedzinie panuje „wolność słowa”, a za wydawałoby się znacznie mniejsze naruszenia „majestatu” armii imperium w 2006 r. zamordowano Annę Politkowską. Sytuacja wyjaśnia się w sierpniu 2008 r., kiedy to zszokowanemu agresją na Gruzję światu główna „europejska” twarz rosyjskiej ekspertyzy wojskowej – Paweł Felgengauer – tłumaczy, że Siły Zbrojne FR podniosły się z kolan i kroczą drogą ku potędze. A z tym katastrofalnym stanem to nie do końca była prawda.

Wspomnienie z Brukseli – maj 2008 r. Stali przedstawiciele państw NATO komentują śmiechem „rusofobiczny” raport OSW wskazujący na rosnące zagrożenie militarne ze strony Rosji dla jej sąsiadów. Trzy miesiące później nie jest im już do śmiechu, za to bardzo interesują się naszymi opracowaniami.

Mając ku temu merytoryczne podstawy wynikające z możliwie rzetelnej kwerendy źródeł, warto trzymać się swojego zdania, nawet jeśli chwilowo reszta świata kupuje zupełnie odmienną narrację, a jakiś inny ekspert na podstawie własnych (lub prawie własnych) doświadczeń, bijąc się w piersi, przekonuje, że jest jeszcze inaczej. I zachować we wdzięcznej pamięci człowieka z Moskwy, który również nie wpisywał się w narrację, a za to jako jedyny mówił prawdę.

Doświadczenie uczy pokory

Jak zauważono we wstępie, analiza wojskowości i wojen na obszarze posowieckim przypomina spacer po polu minowym. Analogia ta – jeśli weźmiemy pod uwagę swoistość badań – wydaje się ze wszech miar uzasadniona. Poruszamy się wszak – co już wcześniej wyjaśniono – po terenie odmiennym cywilizacyjnie, korzystając ze strzępów wyłowionej z informacyjnego bagna mapy. Najczęściej minami są przyjęte za pewnik nieprawdziwe doniesienia i błędne prognozy, rzadziej te postawione na podstawie rzetelnie opracowanego materiału źródłowego. Bywają także tematy miny – wykraczające poza kanoniczny obszar badawczy, w przypadku których analityk, zamiast odznaczyć się należną pokorą – z zapałem podejmuje przerastające go wyzwanie. Ja nie dam rady? Potrzymajcie mi kufel! Po wejściu na minę piwo wylewa się na głowę.

Doświadczenie uczy owej niezbędnej pokory, ale nawet gdy sprawia już wrażenie naprawdę dużego, i tak od błędów uciec się nie da. Ich przebogata skarbnica jest wojna rosyjsko-ukraińska, za której analityczne motto może służyć stare polskie przysłowie „co nagle, to po diable”. Tempo działań, spotęgowane zapotrzebowaniem na informację ze strony przełożonych, nierzadko nie pozwalało ekspertowi wykazać się należytą cierpliwością.

Najczęstsze i najbardziej spektakularne pomyłki płyną z przekonania – by nie powiedzieć wiary – że coś powinno potoczyć się tak, a nie inaczej. U ich podstawy często leży przeświadczenie, że oto wreszcie jesteśmy świadkami wyczekiwanej zmiany. Rozregulowuje ono nasz kompas analityczny, z którego właściwymi wskazaniem raptem przestajemy się zgadzać.

Wspomnienie z początku 2022 r. Postawiona w OSW w styczniu diagnoza, że armia FR przygotowuje się do uderzenia na Ukrainę, była – jak się później okazało – prawidłowa. Zgromadzone przez przyszłego agresora siły i środki zdawały się jednoznacznie unaoczniać, że Rosja pozazdrościła Stanom Zjednoczonym i planuje swój odpowiednik „Pustynnej Burzy”, czyli operacji w Iraku z 1991 r. Oto Moskwa, dla której Waszyngton pozostawał podstawowym punktem odniesienia, postanowiła wreszcie zrobić coś po amerykańsku!

Już w pierwszych dniach pełnoskalowej agresji na sąsiada coś zaczęło zgrzytać: w jego terytorium modelowo, jak na poligonie, wjechały batalionowe grupy taktyczne, ale gdzie się podziało spodziewane wcześniej zdobycie panowania w powietrzu? W następnych tygodniach, kiedy natarcie zaczęło tracić impet, pojawiły się kolejne pytania – o zmobilizowanie przez najeźdźców dalszych sił i środków. Przecież zgodnie z powszechnym przewidywaniem analityków wojskowych, a jeśli spojrzymy na zgromadzone siły i środki – także Rosjan, Ukraina powinna zostać pokonana w kilka tygodni! Ówczesny szef Kolegium Połączonych Szefów Sztabów USA generał Mark Milley twierdził wręcz, że Kijów padnie w trzy dni! Tymczasem obrońcy się nie dali, a wojna trwa dużo, dużo dłużej.

Niewielkim pocieszeniem dla badacza jest to, że nie tylko on niepoprawnie, bo w tym przypadku nazbyt pesymistycznie, przewidział rozwój wypadków. Przede wszystkim koncertowo zbłądziły się struktury wywiadowcze agresora. Gdyby nie przekonanie, że oto stoimy w obliczu wyczekiwanej zmiany, kiedy to Rosjanie będą toczyć wojny jak Amerykanie, analityk zajmujący się Siłami Zbrojnymi FR pamiętałby, że Rosja to Rosja, a nie USA. Pamiętałby, że prowadzi ona wojny po swojemu – z pogardą dla przeciwnika, jeśli uznaje go za słabszego. A do Ukrainy żywi wyjątkową pogardę. W rezultacie w początkowej fazie konfliktu zwykle potyka się o własne nogi (wskutek choćby niedoceny stopnia zaangażowania po stronie ukraińskiej amerykańskiego rozpoznania i służb wywiadowczych), a później bywa różnie, lecz zawsze długo i krwawo. Agresja na Gruzję w sierpniu 2008 r. pozostaje w dziejach rosyjskiej wojskowości ewenementem najpewniej dlatego, że działania zbrojne przerwano po pięciu dniach.

W sierpniu 2022 r. wojna obarczyła sumienie badacza typowym błędem wynikającym z niewiedzy. Żadne z ważniejszych i uchodzących za wiarygodne źródeł nie podało, że Rosjanie – kolejny raz lekceważąc przeciwnika – niemal ogółocili z wojska mniej istotny z ich ówczesnej perspektywy odcinek frontu w obwodzie charkowskim. Główne walki toczyły się wszak 100 km dalej, w obwodzie ługańskim, a stroną nacierającą były wojska agresora. Bez tej wiedzy konstatacja, że obrońcy nie są w stanie dokonać zwrotu zaczepnego, ponieważ nie ma miejsca, w którym posiadanymi siłami mogliby uderzyć z powodzeniem, była w pełni uzasadniona. A Ukraińcy nie dość, że lukę w ugrupowaniu wroga znaleźli (znów dało o sobie znać pozostające w informacyjnym cieniu amerykańskie wsparcie rozpoznawcze), to na dodatek maksymalnie wykorzystali jego błędy. Siły najeźdźcze zostały odepchnięte od Charkowa i wyparte z północnej części obwodu donieckiego.

Ukraiński sukces – jesienią 2022 r., gdy Rosjan bito na froncie pierwszy raz od 80 lat – przypomniał też o najpoważniejszym obciążeniu dla analityka – subiektywizmie opinii. W OSW, będącym jak wiele innych instytucji Polską w pigułce, trudno było nie cieszyć się z tego, że biją Ruskich. I to biją naprawdę. Obiektywizm i wynikająca z niego bezstronność poglądów to dla eksperta chlubny cel, do którego powinien on nieustannie dążyć, jednakże poprzez prosty fakt bycia człowiekiem może się on do niego jedynie zbliżać.

Dążenie do obiektywizmu w ocenie zarówno konfliktu z Ukrainą, jak i poprzednich agresji zbrojnych putinowskiej Rosji stawia polskiego badacza przed następnym zagrożeniem – ewentualnymi próbami zanegowania jego pracy oskarżeniami o rusofilizm (to jedno z najłagodniejszych określeń). A zdarza się to, gdy wnioski z analizy lub wręcz podstawowe fakty różnią się – nieraz diametralnie – od przekazu medialnego konstruowanego zgodnie z bieżącymi potrzebami wojny informacyjnej i wpisujących się weń ocen innych analityków,

jak również z głosem ludu, kibicującego Ukraińcom bijącym Ruska. Popęlniona ewentualnie pomyłka ma w tym przypadku znaczenie drugorzędne. Badając wojskowość i wojny na terenach posowieckich, warto postarać się o jakiś mentalny odpowiednik skóry nosorożca. Tu także mile widziana jest cierpliwość.

Być może zabrzmi to kuriozalnie, ale do błędnej oceny sytuacji mogą też prowadzić posiadana wiedza i fachowe podejście do tematu. Z wojskowego punktu widzenia ukraińska akcja zbrojna w obwodzie kurskim w sierpniu 2024 r., a zwłaszcza jej długotrwałość przy jednoczesnym braku wymiernego rezultatu militarnego (odciągnięcia wrogich sił na terytorium FR), zakrawała na absurd. Dało temu wyraz trzech ukraińskich dowódców brygad, co w dniach poprzedzających uderzenie zakończyło się ich odwołaniem (do obwodu kurskiego ich jednostki wkraczały już pod nowym dowództwem, niepodważającym decyzji polityków). Innymi słowy, nie mieściła się nawet w szerokim zakresie przewidywań, jako że Ukraina nie dysponowała wolnymi siłami, więc przeprowadzenie demonstracji zbrojnej na nowym teatrze działań musiało wiązać się z wycofaniem jednostek z innych kierunków, a w rezultacie – skutkować pogorszeniem sytuacji na dotychczasowych liniach obrony.

Zgodnie z tym, co o operacji w obwodzie kurskim już na jej starcie mówili niektórzy ukraińscy wojskowi, potoczyła się ona jak w podręczniku sztuki wojennej, której kilka zasad (na czele z ekonomią sił) pogwałcono. Pozycji takich jednak decydenci nie czytują, a nawet jeśli to robią, mają inne priorytety. Analizując wojnę, dobrze pamiętać, że najczęściej zarządzają nią wojskowi dyletanci, tzn. mniej lub bardziej demokratycznie wybrane władze państwa, a rzadko który generał „splami się” cywilną odwagą i odmówi wykonania żądania zwierzchników. Inaczej mówiąc, na każdej wojnie może zdarzyć się coś, co zgodnie z zasadami sztuki wojennej zdarzyć się nie powinno.

Subiektywnie warto przypomnieć o zapomnianym niedościgłym wzorcu tejże wojennej nieprzewidywalności. Na przełomie 1995 i 1996 r. armia rosyjska w Czeczenii okrzepła i zbliżała się do odniesienia sukcesu. Traf chciał, że Borys Jelcyń podczas spotkania z kolegami z Francji i Niemiec obiecał im, że będzie bardziej humanitarnie i wprowadził moratorium na użycie artylerii i lotnictwa. W rezultacie generał Aleksander Lebied’ z triumfującego wodza musiał przekwalifikować się na zarządcę masy upadłościowej, a wojna tak jak zaczęła, tak i zakończyła się dla Moskwy spektakularnym blamażem.

Zdekompletowane puzzle

Badając wojskowość i wojny – tym bardziej na obszarze posowieckim – nigdy nie uda nam się zbudować pełnego obrazu sytuacji. Często nie radzą sobie z tym nawet maszyny wywiadów, zatem trudno wymagać tego od pojedynczego

analityka. W czasie pokoju wszyscy lepiej lub gorzej starają się chronić wiedzę o swoich siłach zbrojnych, przynajmniej tę newralgiczną, a w trakcie wojny wszyscy kłamią. Takie jest odwieczne prawo konfliktów zbrojnych. Nie oznacza to, że mamy do czynienia wyłącznie z dezinformacją, ale że każda napływająca wiadomość może nie być zgodna z rzeczywistością – częściowo lub w całości.

Podobnie jak z dążeniem do obiektywizmu oceny, staramy się zebrać jak największą liczbę elementów informacyjnej łamigłówki, by móc prawidłowo ocenić, co ona przedstawia. Praca analityka zajmującego się wojskowością na wschód od Bugu przypomina układanie puzzli, w których brakuje nieznanej liczby części. Nie jesteśmy w stanie skompletować nawet brzegów, a co gorsza źli ludzie systematycznie dosypują puzzle z wyglądających podobnie, ale zupełnie innych kompletów. Dobrze zaopatrzyć się w elementy z poprzednich wersji zestawu przedstawiającego wojskowość państw powstałych na gruzach ZSRR. Mimo upływu lat wciąż bywają one pomocne w dobraniu bądź dorysowaniu niektórych brakujących kawałków.

Pełnoskalowa agresja Rosji przeciwko Ukrainie zadziałała jak przeciąg, który nie dość, że rozsypał większość już dopasowanych elementów, to jeszcze część wywiał za okno, a w zamian przywiał dodatkową stertę kartoników, które mylą i przeszkadzają w pracy. Czasem trzeba udzielić odpowiedzi wcześniej, niż znajdzie się odpowiedni – o ile w ogóle się znajdzie. Wtedy pomagają doświadczenie i intuicja analityczna. Z tą drugą można się urodzić, to pierwsze przychodzi z kolejnymi latami układania puzzli. Nawet jeśli jednak dysponujemy obydwoma przymiotami, i tak popełnimy błędy, zwłaszcza badając sferę militarną w działaniu. Mając tę świadomość, nie należy przechodzić nad nimi do porządku dziennego: każda pomyłka to nowe doświadczenie, z którego należy wyciągnąć wnioski. Im więcej doświadczeń, tym większa satysfakcja, że mimo wszelkich przeciwności dostarcza się wiedzy rzetelnej i – szczególnie w Polsce – potrzebnej.